

Rafał A. Ziemkiewicz  
Prezydent

Twarz przyciśnięta do błotnistej, cuchnącej ziemi, w ustach wstrętny posmak popiołu i oleju. Dłonie wbite kurczowo w zrytą pociskami trawę, drżą.

„Blok F 1300789 0 — łączenie. 00788 0 Kontakt. Kontakt.”

Delikatne, ledwie dosłyszalne strzępy myśli-sygnarów, których nie da się wypowiedzieć słowami. Z trudem napiął mięśnie rąk i podniósł głowę. Otworzył oczy.

Pomiędzy osmalonymi, powykręcany demonicznie kikutami drzew zalegają trupy. Dziesiątki, setki trupów w czarnych kurtkach lub fioletowych panterkach. Niektóre już się rozkładają, w innych poznać jeszcze można resztki ludzi. Kilka rozbitych czołgów, działa, wrak zestrzelonego samolotu. Wszystko płonie.

Słabość mięśni ustępuje powoli. Vandini klęka, rozcierając dłońmi twarz, potem wstaje. Szum w głowie. Powoli wraca świadomość.

Stał obok spalonego czołgu, twarzą ku szczytowi Linare. Za nim rozciągało się szerokie, pokryte zwęgloną łąką zbocze. Na pobojuwisku nie było widać żadnego ruchu — zastygło w spokojnym świetle zachodzącego słońca. Cisza po burzy. Wtedy, gdy prowadził swych żołnierzy do natarcia, był świt.

Usiadł na gaśienicy czołgu. Z rozbitej wieżyczki wionął na niego swąd spalonego mięsa. Przejechał dłonią po kieszeniach munduru i znalazł w jednej z nich zapomnianego przed bitwą papierosa. Z rozkoszą zaciągnął się błękitnym gorzkim dymem.

Papieros już parzył go w palce, gdy usłyszał czyjeś szeleszczące kroki. Ostrożnie wyjrzał zza wieżyczki. Przez pobojuwisko szło kilku żołnierzy w czarnych mundurach, z zielonymi opaskami sanitariuszy na ramionach. Szli powoli, zatrzymując się przy każdym leżącym. Na niektórych patrzyli tylko przez moment i odchodzili szybko odwracając głowy. Przy innych zatrzymywali się dłużej: jeden z nich klękał i przykładał dłoń do nasady szyi leżącego. Potem wstawał kręcąc przecząco głową i cała trójka przechodziła kilka metrów dalej.

Vandini zsunął się z pancerza czołgu i opanowując chwilowy zawrót głowy wyszedł ku nim chwiejnym krokiem.

Prowadzący patrol żołnierz spojrzawszy na jego dystynkcje zasalutował zamaszycie:

— Kapral Minaren z trzeciej brygady specjalnej.

Vandini podniósł rękę do czoła. Poczuł nagle potworne zmęczenie i słabość w kolanach. Otworzył usta, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, osunął się na ziemię pogrążając się w ciemności.

\* \* \*

Ocknął się w namiocie, na posłaniu z suchych liści. Ręce, brzuch i piersi miał owinięte bandażami. Było ciemno.

Spróbował się podnieść. Czyjeś drobne ręce ujęły go za ramiona.

— Połóż się — usłyszał nad uchem kobiecy szept. — Jesteś jeszcze za słaby.

Osunął się na miękkie liście. W słabym blasku świecy dostrzegł czyjaś ciepłą, pochyloną nad nim troskliwie sylwetkę.

— Pić... — wyszeptał, z trudem rozwierając spieczone wargi. Kobieta przytknęła mu do ust metalowy kubek. Pił długo, z początku drobnymi łykami, potem coraz bardziej łapczywie, aż do dna.

— Kiedy będę mógł wrócić na front? — zapytał po chwili.

Kobieta pochyliła się nad nim.

— Leż spokojnie — powiedziała cicho — pójdę po komendanta.

Podniosła się i wyszła z namiotu. Przez chwilę, gdy uniosła zakrywające wejście płótno, Vandini zobaczył ciemne gwiazdziste niebo i owiało go chłodne powietrze nocy. Wciągnął je chciwie do płuc. Przymknął oczy i leżał tak, wsłuchując się w cichy rytm swego serca i nie myśląc o niczym. Po kilku minutach — a może była to godzina? — płótno zaszeleściło znowu i do namiotu weszło dwóch mężczyzn.

— Jestem major Randin — przedstawił się jeden z nich — dowódca zgrupowania Haare. A to porucznik Halfest, lekarz.

Vandini zasalutował usiłując podnieść głowę.

— Kapitan Vandini, dowódca specjalnej grupy operacyjnej rejonu wzgórz Livhen. To znaczy chyba... byłej grupy operacyjnej...

— Miał pan ogromne szczęście — powiedział major.

— A mój oddział?

— Niestety. Niedobitków włączyłem do swojej dywizji. Uformowałem z nich niepełne dwa plutony.

— Prawie nic... — Vandini przymknął oczy. — Szkoda ich.

— Mógłby nam pan opowiedzieć przebieg bitwy?

— Może kiedy indziej, potem — wtrącił się Halfest. — To mogłoby...

— Dostałem rozkaz — zaczął Vandini — by za wszelką cenę bronić wzgórz od południa.

Natarli na nas w nocy, najpierw zbombardowali wszystko i ostrzelali z dział, a potem rzucili czołgi. Spaliliśmy sporo, reszta musiała się wycofać. Wtedy znowu położyli na nas ogień, tylko tym razem bardziej skuteczny, i znowu zaatakowali. Robili tak z pięć razy. Za szóstym doszli już prawie do połowy stoku, wtedy poderwałem resztę oddziału do ataku, to już był raczej gest rozpacz niż przeciwdziałanie. Gdzieś blisko mnie wybuchł granat. To wszystko.

Mówił coraz szybciej, nerwowo. Oczy miał zamknięte. Na chwilę znalazł się znowu na polu bitwy. Tępe ryje miażdżących wszystko czołgów, ryk samolotów, płonąca ziemia. Zacina mu się automat. Repetuje kilka razy, potem odrzuca daleko — niepotrzebne żelastwo. Wyrwa szeregowcowi miotacz. „Naprzód! Naprzód!” Nie słyszy własnych słów. Cekaemista rozpaczliwym gestem pokazuje, że nie ma już amunicji. Bagnety. Wyskoczyć z okopu, prosto na czołgi, bieg, spazmatyczny skurcz mięśni. Aby tylko zdążyć. Strzał, strumień ognia oblewa stalowego potwora. Wybuch. Ognisty kołowrót. Ziemia, wyrwana spod stóp, potworną siłą zwała się na bezwładne barki i plecy. Półotwarte, oślepie oczy pokrywa powoli warstwa opadającego pyłu. I cisza...

Cisza. Tylko gdzieś daleko grają ukryte w trawie cykady. Powoli rozluźnił napięte kurczowo mięśnie. Oddychał głęboko.

— Ma pan kilka ran od odłamków — mówił Halfest — ale żadne ważne narządy nie zostały uszkodzone. Wyliże się pan z tego szybko.

— Dobrze... A co działo się potem?

Randin poruszył ramionami.

— Przejechali po pana oddziale, przelali się za grzbiet góry. Na szczęście właśnie wtedy nadeszliśmy tam i zaatakowaliśmy ich z marszu, gdy rozbijali obóz. Mogę pana pocieszyć, że w tej bitwie ponieśli znacznie większe straty niż my.

— Dobrze... — powtórzył machinalnie Vandini.

Chwila milczenia.

— Kiedy będę mógł wrócić na front? — zapytał Halfesta.

— No cóż... — zastanowił się porucznik — minie co najmniej tydzień, zanim będzie pan mógł wstać z łóżka.

— Na pewno wstanę wcześniej.

— Nie ma takiej potrzeby — wtrącił się Randin. — Nie rozpoczniemy działań ofensywnych wcześniej niż za dwanaście dni. Musimy się dobrze przygotować do ostatniego skoku.

— Więc to już teraz?

— Tak. Ruszamy do ostatecznej ofensywy.  
Vandini uśmiechnął się szeroko.  
— Więc nareszcie... Głupio by było zginąć tak blisko końca.  
Przymknął oczy i po chwili spał już zdrowym, głębokim snem.

\* \* \*

Prezydent Althion nie próbował już kryć swego zdenerwowania. Nie ukrywał go też generalissimus Martio ani nikt inny z uczestników tajnej narady sztabu głównego. Tylko pułkownik Narylin siedział niewzruszony, rozparty wygodnie w fotelu, a jego tępa twarz nie wyrażała niczego poza niewzruszoną wiarą w ostateczne zwycięstwo i lepsze jutro VII republiki.

— Sytuacja, panie prezydencie, jest tragiczna — stwierdził generalissimus podchodząc do wielkiej mapy. — Ponosimy klęskę za klęską. Zdobycie wzgórza Linare przed dwoma tygodniami kosztowało nas siedmiuset żołnierzy i kilkadziesiąt czołgów. Udało nam się je utrzymać tylko przez kilka godzin.

— Kontratak? Pisał pan w raporcie, że grupa Vandiniego została doszczętnie rozbita.

— Tak, to prawda. Ale wkrótce potem nasze oddziały zostały zaatakowane zniemacka przez inną bandę, o której obecności w tym rejonie nawet nie wiedzieliśmy.

— Jak to — nie wiedzieliście! To co, u cholery, robią wasi ludzie?

Martio przetarł palcami obrzmiałe bezsennością powieki. Nie miał czasu na odpoczynek, dopiero przed kilkunastoma minutami wrócił z terenu walk i chociaż podróż tę odbył zbudowanym specjalnie dla niego helikopterem, dała mu się ona porządnie we znaki.

— Nasi ludzie nie mogą już poruszać się inaczej niż w sile najmniej plutonu eskortowanego przez wozy pancerne. Pojedynczy żołnierze są bezlitośnie mordowani przez wieśniaków. Straciliśmy w ten sposób wiele patroli. Miejscowi ludzie nie chcą nam udzielać żadnych informacji o partyzantach, nawet torturowani. To nie jest ta sama wojna, którą prowadziliśmy przed dwudziestoma laty. Teraz wszyscy są przeciwko nam.

Althion zacisnęła szczęki.

— Trzeba być dla nich twardymi. Jak najtwardszymi — powiedział.

— Byliśmy dla nich twardzi przez wiele lat, panie prezydencie, i uzyskaliśmy tylko tyle, że są teraz odporni jak stal. Nie możemy walczyć jednocześnie z bandami i z ludnością.

— Nie mamy wyboru. — Prezydent wygodnie rozsiadł się w fotelu. — W każdym razie mamy przynajmniej pewność, że Vandini zginął?

— Chyba tak...

— Zginął z pewnością, panie prezydencie — wtrącił się pułkownik Biganov. — Widziałem jego trupa po bitwie o Linare.

— Szkoda, że nie mamy jego zwłok. No trudno. Wiadomość o jego śmierci powinna być dla nas cennym atutem.

Szkoda, że dopiero teraz do nas dotarła. Jutro ogłoszą to stacje telewizyjne i prasa.

— Nikt już nie ogląda naszej telewizji ani nie czyta naszych gazet, panie prezydencie.

— Nieważne. Vandini nie żyje, będą o tym wiedzieć. Taaak... za bardzo wyrósł, zbyt wielki zdobył sobie rozgłos wśród ludności.

— Niektórzy uważali go za kandydata na dyktatora w razie zwycięstwa rebeliantów — dorzucił brygadier Horę.

— Nie, tak wysoko by nie zaszedł — pokręcił głową Martio. — jeżeli już, ten fotel przypadłby raczej Randinowi albo Hakayanowi... — w tym momencie Martio zreflektował się, że snucie takich rozważań w obecności, jak by nie było, wciąż jeszcze sprawującego swój urząd prezydenta VII republiki Manwenu nie jest zbyt bezpieczne.

Althion splótł ręce na piersiach.

— Nie traćmy czasu na głupie gadanie — powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu. — Mamy na głowie sprawę ogromnej wagi. Musimy jak najprędzej rozpocząć ofensywę przeciwko bandom.

— To niemożliwe, panie prezydencie. Nasze wojska gonią resztkami sił, podczas gdy oni stają się coraz silniejsi. Logiczniej byłoby skracać linię frontu wokół stolicy, tym bardziej, że i tak w całym kraju wybuchają rozruchy i musimy zostawiać za frontem oddziały pacyfikacyjne.

— Te rozruchy ucichną, jeśli zniszczymy bandy Randina i Hakayana.

Martio rozłożył bezradnie ręce i usiadł ciężko w fotelu.

— Gwardia jest w rozsypce. Nie podoła takiemu wysiłkowi.

Prezydent podrapał się nerwowo po szyi.

— W takim razie... postaram się o bezpośrednie wsparcie militarne Ziemian. Gdy przyślą swych żołnierzy, sytuacja zmieni się radykalnie na naszą korzyść.

— A jeżeli nie przyślą?

— Przyślą. Muszą przysłać. Sprzedałem im tę planetę dwadzieścia lat temu, biorą z niej wszystko, od uranu po korzenie aranii. Zwycięstwo rebeliantów to dla nich koniec. Nigdy do tego nie dopuszczą.

Nikt nie zaprzeczał. Przez dłuższą chwilę trwała cisza.

— A więc jutro, panowie — przerwał ją wreszcie Althion — proszę mi jutro przedstawić plan zlikwidowania band w ich siedliskach przy współpracy z Ziemskim Korpusem Interwencyjnym.

\* \* \*

Prezydent Althion mylił się jednak w swych rachubach; w chwili gdy nakazywał swym generałom podjęcie przygotowań do wejścia w góry, powstańcy podchodzili już pod gwardyjskie umocnienia na nizinach. Dzień wcześniej major Randin i pułkownik Hakayan zwinęli swoje obozy w lasach i rozpoczęli dwoma kolumnami marsz ku dolinom. Randin szedł na północ, wężozem Ledi, by u jego wyjścia zaatakować Fort Althion, główną bazę wypadową oddziałów Gwardii prezydenta. Wężóz zapewniał stosunkowo duże bezpieczeństwo marszu, ale fort uchodził w całym kraju za symbol potęgi dyktatora. W dodatku dywizja musiała atakować go z marszu, gdyż bunkry i okopy gwardzistów sięgały w głąb wężozu, a nadzieję na powodzenie akcji dawało tylko natarcie z zaskoczenia.

Grupa Hakayana była liczniejsza, ale słabiej uzbrojona, zwłaszcza w broń pancerną. Zajmując bowiem południową część gór, staczała mniej walk z gwardią niż oddziały Randina, miała więc mniej okazji do zdobycia sprzętu. Przypadły jej do sforsowania umocnienia Gwardii pod Minthere. Były one słabsze od umocnień fortecznych Althionu, ale droga do nich wiodła po odsłoniętych stokach, narażając oddział na częste ataki lotnictwa. Jednocześnie więc grupa Hakayana miała przyjąć na siebie główne uderzenia Gwardii, odwracając jej uwagę od innych oddziałów. Randin zwolnił nieco marsz wiedząc o tym: chciał, by Hakayan zaatakował pierwszy. Hakayan zrobił zresztą to samo.

Za dwoma głównymi zgrupowaniami ruszyły dziesiątki innych, mniejszych, które niezdolne do przeprowadzania samodzielnie większych bitew, szarpały patrole i konwoje gwardzistów. Wkrótce też zaktywizowały swą działalność oddziały bazujące w dolinach, w ocalałych tam resztkach lasów.

— Zbliża się rozstrzygnięcie — powiedział Vandini do swych żołnierzy na ostatnim postoju, kilkanaście kilometrów przed fortem. — Jak zdobędziemy Althion, pozostanie nam już tylko marsz na stolicę i powieszenie prezydenta na latarni.

Ktoś zaśmiał się ponuro. Żołnierze nie byli w nastroju do żartów. Szli na samym czele kolumny i im właśnie przypadło zdobywanie fortu w pierwszej linii. Wiedzieli, że większość z nich zginie w tej bitwie. Że to nie oni będą wieszać Althiona.

— No a teraz w tył rozejść się, macie piętnaście minut na ostatni odpoczynek przed bitwą.

Dwuszereg rozsypał się na dziesiątki pojedynczych żołnierzy, którzy porozchodzili się na boki i zdejmując na chwilę broń siadali lub kładli się w wysokiej trawie.

Kapitan został sam na wiodącej środkiem wąwozu wstążce piaszczystej drogi. Przez chwilę wpatrywał się w jaśniejące powoli, opuchłe niebo. Do świtu pozostawało jeszcze ponad dwadzieścia minut. Noce na Manwenie zawsze były jasne i krótkie, jakby na złość powstańcom.

Usłyszał za sobą cichutki warkot motoru. Prawie niedosłyszalny. Dobra, gwardyjska maszyna — czasem przejedzie o kilkadziesiąt metrów nie zauważona.

Powiódł wzrokiem po linii horyzontu i odwrócił się. Na łącznikowym, zdobyczym motocyklu podjechał ku niemu porucznik Halfest. Zatrzymał się, zasalutował niedbale (taki był wśród powstańców fason: salutowało się zawsze niedbale, jakby od niechcenia) i powiedział głośno, trochę za głośno w tej porannej ciszy:

— Major pyta, czy nie zmienił pan swego zdania.

— Nie. Sam poprowadzę swych żołnierzy do ataku. To mój obowiązek.

— W takim razie przynoszę panu rozkaz majora, aby natychmiast opuścił pan pierwszą linię i zameldował się do służby sztabowej.

Vandini oparł rękę na lufie przewieszzonego przez plecy automatu i powoli podszedł do motocykla.

— Powiedz, że odmawiam wykonania tego rozkazu.

— Znakomicie — mruknął Halfest cicho, tak, by nie usłyszeli tego żołnierze.

Zsiadł z motocykla, oparł go na wysuniętej podstawie i stanął koło Vandiniego.

— INSTRUKCJA — powiedział ściszym głosem. — Doprowadzisz żołnierzy do drugiej linii umocnień. Kiedy zobaczysz atakujące czołgi, wrócisz się i przyczaisz w jednym z bunkrów. Trzyście minut po rozpoczęciu natarcia Randin ze sztabem znajdzie się na polu walki. Po wykonaniu żądania wrócisz do żołnierzy i poprowadzisz atak na sam fort.  
KONIEC.

— Tak — odpowiedział cicho Vandini.

Halfest odwrócił się i podszedł do motoru wzruszając ramionami. Z daleka wydawało się, że bezskutecznie przekonuje Vandiniego do zmiany decyzji, tak właśnie miało to wyglądać.

— Radziłbym jednak panu zmienić zdanie — krzyknął Halfest i ruszyły znikając po chwili w głębi wąwozu.

Vandini usiadł na kamieniu obok drogi. Wysoko przeleciał zwiadowczy samolot; niedobrze, może dostrzec poruszenie w wąwozie. A gdyby tak spróbował zdjąć go z nieba?

Ręka machinalnie sięga po broń. Za późno, już zniknął, słychać tylko warkot silnika.

Zebrał żołnierzy i poprowadził ich na pozycje wyjściowe.

Cztery minuty przed świtem niebo wybuchło. Lejkowate wyjście z wąwozu pokryła gruba warstwa gotującego się pyłu, dymu i ognia. Wszystkie miotacze rakiet i działa, jakie miała do dyspozycji dywizja Randina, strzelały na przedpole, by rozryć ziemię, pozrywać z niej zasieki, wyłuskać i zdetonować miny. Jakieś działo strzeliło za krótko i pocisk eksplodował pośród żołnierzy. Rozległy się jęki — pierwsi ranni.

Vandini spokojnie zapalił papierosa, podniósł się z ziemi i przesunął automat z pleców do ręki. Wał ognia przetoczył się dalej, nie czyniąc prawie żadnych szkód gwardyjskim umocnieniom. Powstańcy nie mieli dział, które mogłyby naruszyć potężne bunkry. Jedynym ich atutem było zaskoczenie.

— Naprzód! — ryknął, usiłując przekrzyknąć huk wybuchów. — Naprzód!

Machnął lufą automatu i rzucił się pierwszy, pociągając za sobą falę żołnierzy.

— Naprzód! Za Manwen! Za ojczyznę!

\* \* \*

Przed siebie. Huk, krzyk, wybuchy i odgłosy strzałów. Stopy zapadają się w rozrytej pociskami ziemi. Co chwilę rozlega się eksplozja miny i któryś z żołnierzy pada. Inni przeskakują przez niego i pędzą dalej. Widać już pierwszy pas bunkrów — są puste, tylko w niektórych drżą iskierki pistoletów maszynowych.

Uderzenie w pierś. Pociski rozrywają skórę i odbijają się od czegoś twardego, co jest pod spodem. Rana zabliznia się błyskawicznie, zapełnia się ciastowatą masą krzepnącą w ciału. Nie ma śladów krwi na rozdartym mundurze. Dopadli pierwszych bunkrów, wytłukli tam nielicznych gwardzistów i pognali dalej. Dopiero ostry ogień cekaemów z drugiej linii przydusił ich do ziemi. Vandini kazał żołnierzom cofnąć się, poukrywać i czekać na nadejście czołgów.

Niepostrzeżenie wycofał się do pierwszej linii bunkrów i wsunął się do jednego z nich. Oparł lufę karabinu o krawędź strzelnicy.

Przedpołem sunie kilka wozów pancernych i czołgów, przechodzi rozwinięta w tyralierę kompania piechoty. Strzelanina wzrasta się coraz bardziej. Zajeżdża ubłocony gazik; jedno koło wozu wpada w lej po rakiecie. Z samochodu wysiada kilku wyższych oficerów. Znajome sylwetki. Rozmawiają z ożywieniem. Randin odwraca się do przechodzących żołnierzy, krzyczy coś wymachując rękami.

Dlaczego? zastanawia się Vandini przykładając policzek do kolby karabinu. Celownik wędruje szybko po horyzoncie, by spocząć na wyprostowanej sylwetce dumnego oficera. Krótkie złożenie. Dlaczego? Nie może spudłować. Tacy jak on nie pudrują. Czarny krzyż celownika na głowie. Spust. Randin rozkłada szeroko ręce i ciężko wali się na ziemię.

\* \* \*

Las czarnych, powykręcanych drzew wyciąga się boleśnie ku sinofioletowym, obrzmiałym powiekom nieba. Krwawe niebo Manwenu — napęczniały posoką bąbel, w którym od lat odbijają się tylko trupy. Trupy porozrywane pociskami, trupy powieszonych na osmalonych konarach, trupy rozstrzelanych. Na Manwienie od dawna nie umiera się normalną śmiercią.

Przed wieczorem minęli spaloną wioskę, w której początkowo zaplanowali postój. Wioska ta została zniszczona zaledwie na kilka dni przed zdobyciem fortu Althion; gwardziści doszli do wniosku, że trzeba dać nauczkę ludności, która udziela ciągłej pomocy powstańcom. Czarne szkielety okrągłych chat, swąd spalonego mięsa, tu i ówdzie zwęglony trup trzymający jeszcze karabin. Nie poddali się bez walki.

Vandini kazał rozbić namioty kilka kilometrów dalej, w umarłym lesie.

Kiedyś te rany zabliznią się, spalone drzewa obrosną fioletowym mchem i spróchnieją, użyźniając glebę pod nowy las, pomyślał Vandini przechadzając się wokół obozu. A z nas, to znaczy z nich, poprawił się w myśli, pozostaną pusto brzmiące imiona na kartach książek.

Zatrzymał się przy grupie powstańców grzebiącej zabitych. Wstrętna robota.

— Kapralu! — zawołał przyjrzawszy się ich pracy. Podoficer podbiegł do niego salutując.

— A tamci? — Vandini wskazał na trupy gwardzistów poobdzierane z broni, butów i panterek, które potem matki i siostry żołnierzy farbowały na czarno w korze lahii.

— To przecież gwardziści. Może nawet z tych, którzy spalili tę wioskę.

— Zapamiętajcie, kapralu: tam już nie ma powstańców ani gwardzistów. Są tylko polegli.

— Major Randin kazał ich zostawiać, więc myślałem...

— Major Randin nie żyje. Teraz ja tu dowodzę. Pochowajcie ich.

— Tak jest, panie majorze.

Ruszył w kierunku obozu. Randin... jego Vandini nie mógł zapomnieć. Ta wykrzywiona bólem twarz, gdy przywoływał do siebie zdyszanego, okrwawionego Vandiniego i przekazywał mu dowództwo.

Trzymał wtedy w dłoni stygnącą pięść Randina, mając przylepiony do twarzy grymas bólu, choć w duszy nie czuł nic. Potem sztucznie zbolałym głosem — to też nie należało do niego — powiedział, że musi wracać do walczących żołnierzy i włożywszy hełm pobiegł ku zdobywanemu fortowi.

Wtedy też po raz pierwszy zobaczył w oczach swych żołnierzy błysk uwielbienia dla siebie.

W obozie trwało niezwykle poruszenie. Żołnierze, zbici w dużą gromadę, kłębili się pomiędzy namiotami. Zbliżywszy się Vandini dostrzegł, że pośrodku tej grupy znajduje się ktoś, kogo poszturchują i okładają pięściami.

— Co się tu dzieje? — spytał wartownika.

— Złapaliśmy jeńca, panie majorze.

— Oficera?

— Nie, to cywil. Ale to Ziemianin.

— Skąd się tu wziął?

— Po prostu przyszedł. Chciał wejść na teren obozu. Twierdził, że musi koniecznie porozmawiać z panem majorem.

Vandini skierował się ku kłębowisku. W połowie drogi dopadł go porucznik Nadcen.

— Panie majorze, melduję, że...

— Już wiem.

— Nie możemy sobie poradzić z żołnierzami... O mały włos go nie zabili...

Vandini przyspieszył kroku. Dwóch rostrych żandarmów trzymało jeńca — choć nie zamierzał uciec — a pozostali próbowali utrzymać w bezpiecznej odległości żołnierzy, którzy obrzucali go stekiem najwymyślniejszych obelg. Gdy zobaczyli Vandiniego, uspokoili się trochę...

— Rozejść się! — rzucił. — Jeńca do sztabu na przesłuchanie. Jak jeszcze raz się coś takiego powtórzy, oddam paru pod sąd.

Żołnierze niechętnie rozstąpili się, szemrając i klnąc głośno. Vandini spojrzał na jeńca: był to typowy Ziemianin, nieco wyższy od przeciętnego Manweńczyka, ale też o wiele grubszy i bardzo niezgrabny. Skórę miał zupełnie białą, włosy jasne, szczeciniaste. Za grubymi szklami okularów tkwiły ruchliwe wylupiaste oczka, którymi strzelał na wszystkie strony. Wyglądał na porządnie przestraszonego i nie stawiał oporu prowadzącym go żandarmom. Vandini odprowadził grubasa wzrokiem aż do szałasu, w którym urzędowało dowództwo.

— No, powiedziałem, rozejść się! To wojsko czy banda hołoty?

Czego on mógł szukać? zastanawiał się. Gdyby wpadł w ręce wieśniaków, już by nie żył. Powinien sobie zdawać sprawę, że Manwen to nie jest najbezpieczniejsze miejsce dla Ziemian.

Odczekał jeszcze kilka sekund i wszedł do szałas.

— Powtarzam to jeszcze raz — mówił Ziemianin stojąc na środku izby. — Muszę koniecznie rozmawiać z dowódcą zgrupowania.

Mówił dość płynnie i poprawnie, choć z bardzo dziwnym akcentem.

— Ale będziesz rozmawiać ze mną — zasyczał jeden ze sztabowców, podchodząc do jeńca. Prawdopodobnie uderzyłby go pięścią w twarz, gdyby nie obecność Vandiniego.

— Muszę rozmawiać z majorem Randinem, po to przyleciałem tu z Ziemi. Od tego zależy los całego waszego powstania!

— Ja jestem tutaj dowódcą — powiedział Vandini.

Ziemianin odwrócił się.

— Major Randin? — zapytał.

Vandini podsunął mu krzesło.

— Major Randin poległ tydzień temu, ja jestem jego następcą. Major Vandini. Niech pan siada.

Ziemianin bezwiednie wykonał polecenie. Vandini obszedł go i usiadł na stole.

— Więc słucham, co mi pan chce powiedzieć?

— Wybaczy pan, panie majorze, ale dla dobra sprawy... Lepiej by było, gdybym rozmawiał z panem majorem w cztery oczy.

Vandini zastanawiał się chwilę.

— Dobrze. Niech panowie wyjdą — rzucił do sztabowców.

Jeden z oficerów:

— Panie majorze, to może być podstęp...

— Nie sądzę. Wyjdźcie panowie. I nie ważcie się podsłuchiwać.

— Więc? — ponowił pytanie po ich wyjściu.

Ziemianin nerwowo obtarł spocone czoło wymiętą chustką.

— Jestem profesor Jack Kannen, z ziemskiego Komitetu Pomocy Manwenowi.

— O?! Ziemianie chcą pomóc Manwenowi! Wystarczy, jeśli się wreszcie od nas odpieprzą.

— Działamy w opozycji do rządu Ziemi. W naszym układzie żyje wielu ludzi, panie majorze. Różnych ludzi. Chcemy wam pomóc. Wasze powstanie jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Vandini sięgnął po papierosa.

— O ile wiem, zwyciężamy na wszystkich frontach.

— Tak, bo nasz rząd na to pozwolił. Poświęcili Althiona, żeby uspokoić ludność waszej planety. Chcą rozsadzić powstanie od wewnątrz.

— Jak?

— Mają wśród powstańców wielu swoich ludzi. Z tego, co wiemy, przed paroma tygodniami przetrucili do was robota, czy raczej swego rodzaju cyborga. Miał on podszyć się pod poległego oficera i dzięki pomocy przekupionych Manweńczyków dostać się do dowództwa powstania, w przyszłości zaś zająć miejsce Althiona. Nie muszą chyba panu tłumaczyć, że jest on absolutnie posłuszny rządowi Ziemi.

— Ma pan pewność, że jest już tutaj?

Cichy, powoli narastający szum w głowie.

— Tak, wiemy na pewno, że znajduje się już wśród powstańców. — Kannen zapala się, mówi coraz szybciej. — Zastąpił jednego z poległych oficerów i prawdopodobnie dowodzi w tej chwili dużą jednostką powstańczą.

Szum przeradza się w przeraźliwy, natarczywy gwizd.

— Skąd to wiecie?

Dwa obce głosy prowadzące ze sobą ożywioną rozmowę stają się coraz dalsze, coraz trudniej słyszalne. Coraz głośniejszy gwizd.

— Mamy zupełnie pewne przecieki z kręgów rządowych. Właściwie nie jest to robot, lecz wyposażony w mechaniczne systemy stabilizacyjne sztucznie wyhodowany Manwencyk z odpowiednio wypranym mózgiem i magnetyczną, kontrolowaną pamięcią. Może ma on pewne namiastki własnej psychiki, ale te ślady osobowości milkną, gdy do mózgu dochodzą instrukcje wysyłane przez ludzi kontrolujących jego postępowanie...

Usta Kannena — poruszające się szybko, rytmicznie. Pulsowanie w głowie.

— ...i dlatego musiałem was koniecznie uprzedzić. Jesteśmy prawie pewni, że tym robotem jest dowódca jednego z waszych największych zgrupowań, major Hakayan. Musicie go zniszczyć, i to szybko. Gwardia Althiona jest w rozsypce. Jego żołnierze rzucają broń i uciekają. Kto dotrze pierwszy do stolicy, zostanie przez ludność i powstańców obwołany nowym prezydentem. Jeżeli będzie to Hakayan — koniec z wami.

Potworny dźwięk zdaje się rozsadzać czaszkę i nagle — cisza.



„INSTRUKCJA AWARYJNA A-7; DEKONSPIRACJA...”

Palce zaciskają się kurczowo. Karabin z ramienia na biodro, lufa w brzuch, odbezpieczyć, spust — ułamek sekundy. Rozsadzający łomot serii, automat szarpie się w dłoniach, krzyk. Rozpruty, charkoczący trup, czerwone bebechy rozchłapane na ścianach.

...KONIEC”.

Oparł się ciężko o blat stołu. Do szałasów wpadli żołnierze z bronią gotową do strzału.

— Co się stało?

Vandini podnosi głowę. Jego twarz jest spokojna.

— Nic, schowajcie broń. Rzucił się na mnie z nożem.

— Mówiłem, panie majorze...

— Zawsze mówiłem. — Chorąży Zill wzrusza ramionami. — Ziemię trzeba rozwałać od razu.

Vandini wyprostował się i przewiesił automat przez ramię.

— Sprzątnijcie to — wskazał głową na Kannena. — Szczęście, że zdążyłem od niego wyciągnąć parę ważnych informacji. Oficerowie służbowi!

— Tak, panie majorze.

— Alarm bojowy. Natychmiast zwijać obóz, przygotować oddziały do wymarszu. Idziemy na stolicę.

— Ale, panie majorze... Żołnierze muszą odpocząć.

— Odpoczną w Manaken. Na razie jeszcze nie pora. Od tego, jak szybko dotrzemy do stolicy, zależy los Manwenu. Dowódca grupy zmechanizowanej i kapitan Halfest — do mnie! Wyszedł z izby.

— Ale co się właściwie stało?

— Gwardziści rzucają broń i uciekają. Jeżeli damy im czas na odpoczynek, mogą z powrotem skoncentrować swoje oddziały i przejść do kontrofensywy.

— Panie majorze, dowódca oddziałów zmechanizowanych, kapitan Hartsone, melduje się na rozkaz.

— Dobrze. — Vandini wziął kapitana za ramię i odprowadził na bok. — Ile wozów ma pan w tej chwili gotowych do drogi?

— Dwanaście ciężarówek i osiem tych zdobycznych transporterów z fortu, poza tym łaziki i motocykle.

— Dojedziemy na nich za jednym zamachem do Manaken?

— To przecież prawie tysiąc kilometrów! Nie mamy tyle paliwa.

Vandini nerwowo przetarł palcami powieki.

— Musimy jak najszybciej przerzucić do Manaken możliwie największą ilość żołnierzy.

— Całego zapasu z fortu starczyłoby na doprowadzenie do Manaken czterech... no, najwyżej pięciu transporterów z ludźmi i sprzętem.

— Pięć transporterów... to jest ponad dwustu pięćdziesięciu ludzi... Dobrze. Przygotujcie je do drogi. I jeden motocykl.

— A co z resztą?

— Zostawić. Albo spalić.

— Tak jest.

Vandini obrócił się do Halfesta.

— Wybierzesz kilkunastu żołnierzy najlepszych w walce wręcz, w strzelaniu i przede wszystkim gotowych za mną skoczyć w ogień. Na ich czele postawisz jakiegoś wiernego mi podoficera.

— Któregoś z „naszych” żołnierzy?

— Nie, normalnego, wiernego powstaniu patriotę. Może być głupi, nawet powinien, żeby się niczego nie domyślił. Przyślesz go do mnie.

— Myślę, że nadawałby się do tego kapral Vent z trzeciego szwadronu.

— Może być on. Wszystkich tych żołnierzy przenieść z dotychczasowych jednostek do mojej osobistej ochrony.

— Tak.

— Po wykonaniu tego rozkazu weźmiesz od Hartsona motocykl i pojedziesz do Hakayana. Gdyby cię pytali, wiesz ode mnie tajny list do dowódcy zgrupowania. Zabijesz go, a potem wiesz, jak się da. Staraj się dostać do pałacu prezydenckiego, będę tam na ciebie czekał. Gdyby cię złapali, pamiętaj, że nigdy z tobą o tym nie rozmawiałem.

— Tak jest — kapitan (do niedawna jeszcze porucznik) trzasnął obcasami i pobiegł ku oddziałom. W spokojnym jeszcze przed chwilą obozie wrzała praca: setki obudzonych niespodziewanie żołnierzy uwijało się przy pakowaniu namiotów i plecaków. Chociaż znać było na ich twarzach potworne zmęczenie, żadnemu nie wymknęło się z ust nawet jedno słowo niezadowolenia.

Przy magazynach Vandini spotkał swego zastępcę — majora Parnavio.

— Dwie pierwsze kompanie, które będą gotowe do drogi, wyślij do parku mechanicznego. Tam są przygotowane dla nich transporterzy. Niech nie biorą namiotów ani zbędnego wyposażenia, tylko broń automatyczną, granaty i jak najwięcej amunicji. Jadę z tymi oddziałami. Ty obejmiesz dowództwo nad resztą. Poprowadzisz ich na Manaken, możliwie najszybciej.

— Rozkaz.

Vandini spojrział na zegarek. Przymknął oczy i przez chwilę obliczał w myślach drogę, którą miał do przebycia, i szybkość zdobywczych transporterów. Z obliczeń tych wynikało, że dotrą one do stolicy następnego dnia, na krótko przed świtem.

\* \* \*

Althion wzdrygnął się lekko, kiedy lekarz wbił mu strzykawkę w skłute przedramię i zaczął powoli wciskać tłoczek. Gdy skończył, prezydent powiedział do niego:

— Możesz iść dokąd ci się podoba. Nie będę już więcej potrzebował twojej pomocy.

Osobisty lekarz prezydenta skłonił się pokornie i wyszedł z gabinetu. Althion odsunął fotel od biurka, podniósł się i leniwie przeciągnął czekając, aż środki pobudzające zaczną działać. Powoli, zmęczonym krokiem zaczął się przechadzać po marmurowej czarnobiałej posadzce. Jeszcze raz obrzucił wzrokiem bogate ściany pokoju, z którego przez dwadzieścia lat niepodzielnie rządził planetą.

Trzasnęły drzwi. Althion obrócił się na pięcie.

— Jeszcze pan tu jest? — zapytał zdziwiony.

— Powiedziałem, że nie ucieknę. — W drzwiach stał sekretarz prezydenta, Danlin. Wszedł do środka zamykając starannie drzwi.

— Liczy pan, że pana zabiorę ze sobą?

— Nie. Zamierzam tu zostać.

— Pan zwariował, Danlin. No ale to pańska sprawa. Skoro tak bardzo chce pan wisieć na latarni.

Danlin zaśmiał się. Nie wyglądał na drżącego o swą przyszłość. Podeszedł do okna i otworzył je szeroko. Na dworze zapadł już zmierzch.

— Jakie są nowiny? — zapytał Althion.

— Nie mogą być już gorsze niż do tej pory. Cała planeta jest w rękach rebeliantów; wszystkie ważniejsze miasta, drogi, porty i lotniska. Fort Tire broni się jeszcze w okrążeniu, ale to nie potrwa długo.

Zza okna dobiegł odgłos serii karabinowej.

— A Gwardia?

— Gwardii już nie ma. Ci, którzy nie zginęli, zdezerterowali.

— Durnie. Wieśniacy będą ich tropić po lasach. Lepiej byłoby dla nich umrzeć, niż dostać się w ręce powstańców. Na co oni liczą?

— Pewnie, że uda im się dotrzeć do portów i uciec jakąś tratwą na wyspy.

Manwen miał tylko jeden wielki kontynent; pięć szóstych globu zajmował ocean, z którego wypiętrzało się kilka bezludnych prawie archipelagów. Od wieków służyły one za azyl uchodźcom z kontynentu.

— Niech próbują. — Althion poruszył ramionami. — Gdzie jest Martio?

— Uciekł.

— A Biganov?

— Uciekł.

— A Narylin? Też uciekł?

— Zginął w walce. Już trzy dni temu. Zapomniał pan?

— A rzeczywiście, zapomniałem. Stary osioł Narylin przynajmniej pozostał do końca wierny swym ideałom. Może i lepiej dla niego, że poległ. Całe życie poświęcił rewolucji, byłoby mu przykro, gdyby na starość dowiedział się, że je zmarnował.

— Rewolucja była dwadzieścia lat temu.

— Tak. Teraz jest następna. Za kilkanaście lat będzie kolejna. Jedna rewolucja wynosi człowieka do władzy, druga zrzuca go z fotela. Zostają tylko stosy trupów, a najlepiej wychodzą na tym wszystkim Ziemianie.

Strzały i wybuchy za oknem przerodziły się w regularną strzelaninę.

— Ciągną stąd te swoje pierwiastki promieniotwórcze, czy jak oni to nazywają... A propos, co słyhać w kopalniach? Praca nie ustaje ani na chwilę, wydobywanie wzrasta?

— Tak.

— Dopóki na tej ziemi zostało choć trochę uranu — nie dopuszczają, aby coś się zmieniło. Biedny narodek. Durnie. — Althion oparł się ręką o ścianę obitą miękkim materiałem. W mięśniach poczuł przypływ rzeźkości — efekt zastrzyku.

— Chętnie bym tu sobie porządził jeszcze z dziesięć lat. Myślałem, że Ziemianie mi pomogą, przecież sprzedawałem im Manwen... Ale oni już go widocznie kupili od tego, kto mnie zastąpi. To bardziej opłacalna transakcja. Kanonada za oknami zdawała się słabnąć.

— Zdaje się, że pańska wierna straż pałacowa kończy swój żywot.

— Tak. Pora uciekać, wkrótce wpadnie tu motłoch. Ziemianie mi nie pomogli, ale myślę, że pozwolą mi spędzić u siebie stare lata.

— Nie.

Althion spojrział na niego zdziwiony.

— Nie dostaniesz się już na Ziemię — wyjaśnił Danlin.

Althion roześmiał się. Wyjął z kieszeni srebrny klucz i wsunął go w szczelinę pod małym posążkiem na biurku. Jedna ze ścian rozsunała się na boki, ukazując przeszkolone drzwi do eleganckiej kabiny przypominającej windę.

— Nie wiedziałeś o tym, co? Teleporter. Wchodzisz do środka, naciskasz guziczek i już jesteś na Ziemi. Jeden z tych ich cudownych wynalazków.

— Jesteś głupi, Althion. A jak myślisz, jak ja przybyłem na Manwen?

— Ty...?

— Oczywiście. Przyszliście mnie z Ziemi. Żebyście pilnowali.

W rękę Danlina załśnił mały, ziemski obezwładnierz.

— Ty musisz tu zostać, Althion. Ci ludzie chcą mieć jakąś satysfakcję, zadośćuczynienie za te miliony wymordowane przez twoich gwardzistów i za wszystko to, co działo się po

rewolucji. Jesteś dla nich ucieleśnieniem tego wszystkiego i musimy cię poświęcić, żeby się trochę uspokoili.

Althion rozejrzał się nerwowo. Najszybciej jak umiał, sięgnął do kieszeni po pistolet; błysk obeszwałnicza. Prezydent osunął się na podłogę.

— Idą po ciebie, Althion — powiedział Danlin podnosząc z podłogi kluczyk, który wypadł z zeszywniałych palców prezydenta. — Wrócę na pewien czas na Ziemię, ale nie zabawię długo. Po prostu nie ma tu bezpiecznego ukrycia. Ale zjawię się znowu, gdy już będziesz trupem.

Wszedł do kabiny. Althion, niezdolny się poruszyć, patrzył, jak szczelina w ścianie zamyka się nie pozostawiając po sobie śladu.

Zaczął się zastanawiać, czy zdąży odzyskać władzę nad mięśniami, nim do gabinetu wpadną jego byli poddani. Nie chciał, by dostali go bezbronnego jak niemowlę.

Strażyły odzywały się coraz rzadziej. Strażnicy pałacowi kończyli swą służbę — jako ostatni, wierni mu ślepo do końca.

\* \* \*

Transportery sunęły szybko kilkanaście centymetrów nad szklistą powierzchnią pustej autostrady. Pędzili całą prędkością, jaką dało się wycisnąć z motorów, mijając od czasu do czasu małe ubogie wioski — przeważnie spalone albo rozsypujące się ze starości. Mijali też maszerujące drogą oddziały partyzantów albo cywilów, którzy po zniknięciu gwardzistów wyszli ze swych ukryć i kolorowymi, rozgadanyimi gromadami szli ku stolicy. Widząc transportery z żołnierzami „z gór” cywile machali rękami i krzyczeli, żeby ich podwieźć do Manaken. Niektóre grupy usiłowały nawet zastępować im drogę, ale rezygnowały na widok dystynkcji Vandinięgo i karabinów jego żołnierzy.

Vandini prawie cały czas stał na pomoście pierwszego transportera z dłońmi opartymi na poręczy, wpatrzony w drogę. Jeżeli schodził z tego posterunku, to tylko po to, aby porozmawiać ze strudzonymi żołnierzami. Nie potrzebował zresztą podnosić w nich ducha; mimo zmęczenia byli szczęśliwi, pewni, że już wkrótce wrócą do domów.

Do miasta dojechali niedługo przed świtem, tak jak Vandini przypuszczał. Nie zauważeni przez nikogo przemknęli przez opustoszałe dzielnice slumsów i wjechali pomiędzy betonowe mrówkowce.

Stolica Manwenu przedstawiała żałosny widok. W mieście nie ocalała ani jedna szyba, niektóre domy były spalone, zawartość sklepów poniewierała się na trotuarach i jezdniach wśród poprzewracanych samochodów. Po ulicach snuły się grupki wrzeszczących, pijanych ludzi, którzy uciekali na widok gwardyjskich transporterów.

Silnik pierwszego poduszkowca zacharczał rozpaczliwie i wóz opadł ciężko na ulicę.

— Panie majorze, koniec paliwa — zameldował z wnętrza wozu Hartsone.

Vandini odwrócił się.

— Potrzebuję kogoś, kto dobrze zna miasto! — zawołał.

— Ja znam! Mieszkałem tu kilka lat.

— Ja się tu urodziłem!

— I ja!

— Dobrze! — Vandini uciszył ich ruchem dłoni. — Dowódcy plutonów do mnie!

Zsunął się z pomostu i przerzuciwszy nogi przez pancerną płytę, zeskoczył na ziemię.

Zza zakrętu wyszedł chwiejnym krokiem obdarty cywil z przewieszonym przez ramię automatem. Zobaczywszy żołnierzy wzniosł do góry obie pięści i ryknął:

— Zwycięstwo! — Po czym chwycił się latarni, żeby nie upaść. Dopiero w tym momencie Vandini zauważył, że na latarni wisi jakiś człowiek ze związanymi z tyłu rękami i przyczepioną do nóg deską z napisem „Zdrajca”.

— Zabierzcie mu broń — powiedział Vandini wskazując na trzymającego się latarni pijaka — bo zrobi komuś krzywdę.

Żołnierze właśnie zaczęli wychodzić z transportera, prostując obolałe nogi. Kilku z nich podeszło do pijanego cywila i zabrało mu automat.

— No, no! — opierał się tamten, gdy prowadzili go za ręce. — W imię powstaniaaaa!

Vandini z rozmachem strzelił go w pysk.

— Kto?! — ryknął.

Cywil zastygł z otwartymi ustami.

— Nazwisko!

— Bant... Bantanto... robotnik miejski numer siedemset dwanaście tysięcy czterysta dwadzieścia pięć.

— Co tu się dzieje?

— Zwycięstwo... — Wytrzeźwiały nagle cywil rozejrzał się ze zdziwieniem.

— Gdzie gwardziści?

— Wiszą.

— A prezydent?

— Prezy...? Prezydent! Boże, zapomniałem na śmierć! — zaczął się szarpać — mój automat! Do szturmu!

— Chyba nic z niego nie wydusimy — stwierdził kapitan Arzent.

— Puście go, niech idzie do jasnej cholery. Panowie!

— Vandini odwrócił się do oficerów — powstanie zakończyło się zwycięstwem, ale trzeba jeszcze zrobić porządek w tym mieście. To znaczy wziąć za mordę ten pijany motłoch, zanim z nadmiaru szczęścia nie powyrzyna się nawzajem. Kompania kapitana Arzenta zajmie natychmiast pałac prezydencki i usunie z niego to bydło. Podobnie zrobi też kapitan Hank, zajmując stację radiowo–telewizyjną i sąsiadującą z nią drukarnię. Postara się zebrać pracowników i jak najszybciej je uruchomić. Jeden pluton pod dowództwem porucznika Zoego zajmie centralną siłownię miejską oraz rozdzielnię wody i gloozu. Gdybyście napotkali jakiegokolwiek jako tako zorganizowane i trzeźwe oddziały, powiedzcie im, że przechodzą pod dowództwo majora Vandiniego i skierujcie do zaprowadzenia porządku na ulicach. Cywilów rozbrajać. Starajcie się nie używać broni, raczej jakoś przemówić im do rozsądku.

Vandini przetaił oczy, chociaż nie czuł się senny.

— Obsługa techniczna i jedna drużyna z piątego plutonu niech zostaną przy transporterach. Czy są jakieś pytania?

Cisza.

— W takim razie proszę przystąpić do wykonywania zadań. Kapitanie Hartsonie, pan postara się jakoś uruchomić transportery, przynajmniej niech je pan doprowadzi na główny plac miasta i ustawi na środku. Trzeba będzie urządzić jakiś wiec, zajmie się pan tym. Kiedy wszystko będzie gotowe, niech się pan zamelduje w pałacu prezydenckim, tam będzie nasza tymczasowa siedziba.

Odszedł kilka kroków i przez chwilę patrzył na rozchodzące się w różnych kierunkach plutony. Potem przeniósł wzrok na żołnierzy ze swojej obstawy, skupionych przy pierwszym transporterze.

— Aha, kapitanie Hartsonie! Przy okazji — wskazał palcem na latarnię — zdejmijcie tego nieszczęśnika.

— Tak.

Vandini rozejrzał się.

— Idziemy — rzucił do Venta.

Znał miasto dość dobrze, choć nie pamiętał skąd. Nie chciał zjawiać się w pałacu, zanim Zand i Arzent nie zrobią tam porządku, poszedł więc okrężną drogą, przez Plac Althiona i

Aleje Rewolucji. To znaczy, pomyślał, przez były Plac Althiona i Aleje poprzedniej rewolucji.

Im bliżej centrum, tym bardziej stawały się widoczne zniszczenia dokonane w mieście. Większych nie mogłyby spowodować nawet kilkudniowe walki uliczne — a przecież wszystkie wypadki w stolicy rozegrały się w ciągu zaledwie kilku godzin.

Ludzie w mieście to zupełnie inna kategoria niż ci z dalekich wiosek, myślał. Oni pierwsi poczuli rękę dyktatora i ostatni się spod niej wyzwolili. To, co dla wieśniaków urzeczywistniało się najściem pacyfikacyjnego oddziału Gwardii, oni ciągle mieli wokół siebie. Zamiast szansy oporu albo przynajmniej bohaterskiej śmierci — bulgocące, zbydlęcałe bagno. Oto ich wyzwolenie: najchętniej zniszczyliby wszystko, łącznie z sobą. Trzymani całe życie na łańcuchu, mieli tę jedną noc dla siebie. Taka okazja zdarza się raz na dwadzieścia lat: palić, mordować, tłuc, a potem włamać się do gorzelni i schlać na umór. Nieszczęsne bydło.

Po placu kręciło się kilku ludzi, przebierając pośród zalegających ulicę szczątków. Ktoś popijał ramię z nadtłuczonego kubka. Na odgłos ich kroków, chrzęszczących na potłuczonym szkłe, odwrócili głowy. Ktoś pomachał ręką, krzyknął coś przyjaźnie.

Doszli do pałacu prezydenckiego. Pod ogrodzeniem kłębili się mieszkańcy miasta. Vent z kilkoma żołnierzami wsunął się do przodu.

— Z drogi! — ryczał tłukąc kolbą opornych — idzie major Vandini. Słyszycie? Van-di-ni!

— Van-di-ni! Niech żyje! Van-di-ni zwycięzca! — podjął tłum.

Na twarzy majora pojawił się sztuczny uśmiech. Podniósł ręce, dziękując za owację. Z trudem dopchnęli się do bramy. Wartownik wyprężył się sprężyste i zsalutował — już nie tak niedbale, jak zwykle robili to powstańcy, ale po „gwardyjsku”.

Gdy tylko znaleźli się za bramą, uśmiech znikł z twarzy Vandiniego, zastąpiony nie mniej sztucznym wyrazem zmęczenia. Jeszcze raz obejrzał się przez ramię na skłębiony przed bramą wiwatujący tłumek.

A ty kim jesteś, pomyślał. Jednym z nich, czy Ziemianinem? Chyba ani jednym, ani drugim.

Pod drzwiami czekał już na niego kapral Arzent.

— Melduję wykonanie rozkazu, panie majorze. Zdążyliśmy w ostatniej chwili, właśnie szykowali się do podpalenia pałacu. Na szczęście po drodze spotkaliśmy spory oddziałek powstańców, pomogli nam bardzo.

— Co to za jedni? — spytał Vandini. — Od Hakayana?

— Nie, z lasów. Dotarli do miasta kilka godzin przed nami. Kiedy usłyszeli o panu, przeszli pod naszą komendę.

— Dobrze.

Znaleźli się w obszernym holu. Marmurowa posadzka zasypana była chrzęszczącym pod stopami szkłem i potłuczonymi stiukami. Pod ścianą kłębiły się pozrywane zasłony, strzępy sztandarów i kawałki boazerii. U stóp szerokich schodów leżał podeptany portret Althiona.

— Cholera — powiedział Vandini rozglądając się po odartych do gołego muru ścianach. — Cały pałac tak wygląda?

— Cały, panie majorze.

Weszli na piętro. Ściany korytarza podziurawione były gęsto kulami. W wielu miejscach na podłodze widniały plamy krwi.

— Musiała tu być niezła strzelanina.

— Tak, panie majorze. Trupy już powynosiliśmy.

— Dużo ich było?

— Dużo. Bronili się do ostatka.

— A Althion?

— Nie znaleźliśmy go, ale na pewno nie żyje.

— Skąd pan wie?

— Mieliśmy naocznych świadków. Rozerwali go na strzępy. Jedną rękę znaleźliśmy na schodach, poznaliśmy ją po sygnecie, dziwne, że nikt tego sygnetu nie ukradł. A reszta byłego prezydenta — Arzent wzruszył ramionami — też się gdzieś tu wala.

— Panie majorze — odezwał się Zand, który nagle wyłonił się z bocznych drzwi. — Telefony są sprawne. Właśnie połączyłem się z kapitanem Hankiem. Mówi, że nie może znaleźć obsługi stacji radiowej ani telewizyjnej, ale drukarnię może uruchomić choćby zaraz; papier i farba jest, maszyny sprawne, i ma w oddziale kilku żołnierzy, którzy się na tym znają.

— Znakomicie. Połączcie mnie z nim zaraz — odwrócił się do Arzenta. — I każcie się rozejść tej hołocie spod bramy, powiedzcie, żeby wrócili do swych normalnych zajęć i że wkrótce na Placu Althiona odbędzie się wiec, na który powinni przyjść wszyscy.

— Tak.

Wszedł za porucznikiem do obszernego gabinetu, nieco mniej zniszczonego od innych. Wykładziny na ścianach były podziurawione kulami i w powietrzu unosił się jeszcze zapach prochu, ale meble ocalały prawie nietknięte. Zand podszedł do masywnego biurka i podniósł słuchawkę telefonu.

— To gabinet prezydenta — powiedział naciskając klawisze. — Tu go znaleźli. Wywlekli go od razu na korytarz i dzięki temu nie zdążyli zniszczyć gabinetu. O, jest.

Podał mu słuchawkę.

— Hank?

— Przy aparacie.

— Mówi Vandini. Słyszałem, że może pan uruchomić drukarnię.

— Tak, panie majorze.

— Znakomicie. Macie tam kogoś z maszyną do pisania?

— Chwilę, panie majorze. — Hank odłożył słuchawkę. Po chwili: — Tak, panie majorze.

— Dyktuję: Obywatele... Nie, skreśl to. Rodacy. Nadeszła tak długo oczekiwana godzina wolności...

Hank powtarza na głos jego słowa. W głębi słuchawki odzywa się klekot maszyny.

— ...Reżim Althiona i popierających go Ziemian został obalony raz na zawsze i nie wróci już nigdy. Niech żyje wolny, suwerenny Man wen. Już?

— Tak.

— Od nowego wiersza: W tej radosnej, ale i trudnej chwili wzywam was, mieszkańcy Manaken, do zachowania spokoju i bezwzględnego podporządkowania się zarządzeniom władz powstańczych. Wzywam was, abyście wrócili na swoje stanowiska i podjęli pracę dla dobra odrodzonego Manwenu. Wykrzyknik albo nawet dwa. Podpisane: major Vandini, tymczasowy komendant miasta. Wydrukujcie to w jak największym nakładzie i rozrzucajcie po mieście.

Odłożył słuchawkę nie czekając na rytualne „Tak jest”. Obszedł biurko i usiadł w fotelu Althiona.

— Tutaj jest spis numerów, z którymi połączona jest sieć telefonów w pałacu — powiedział Zand wyjmując z kieszeni małą książeczkę. — Znaleźliśmy to w wartowni na dole.

— Dobrze. Zawołajcie do mnie kaprała Venta.

Zand wyszedł. Vandini rozparł się w fotelu i zaczął penetrować biurko Althiona. Wyciągnął pierwszy z brzegu dokument.

Raport 33 917. Walki trwają nadal na całym prawie obszarze kraju. W dniu wczorajszym i dzisiejszym poległo 417 gwardzistów. W odwecie spalono dwadzieścia cztery wsie, które prawdopodobnie udzielały pomocy rebeliantom...

Przypomniała mu się spalona wioska, w której ostatnio obozowali. Podniósł wzrok. Ściana rozsunała się bezszelestnie, ukazując małe przeszkłone drzwi, które po chwili otworzyły się.

Wyszedł zza nich niewysoki, dość otyły mężczyzna w czarnym powstańczym mundurze z dystynkcjami kapitana.

— Jestem Danlin — powiedział podchodząc do Vandiniego. — INSTRUKCJA: Natychmiast rozkażesz Ventowi...

Mówił szybko, nerwowo, nachyliwszy się nad Vandinim, który siedział nieruchomo ze wzrokiem wbitym bezmyślnie w trzymany w ręku papier. Podniósł oczy dopiero, gdy Danlin powiedział: — KONIEC.

Otworzył usta, lecz w tej chwili otworzyły się drzwi gabinetu.

— Kapral Vent melduje się na rozkaz.

— Wejdźcie, kapralu.

Vandini rozpiął dwa guziki koszuli. W gabinecie było gorąco.

— Pierwsza rzecz: to jest kapitan Danlin, pełnomocnik majora Hakayana. Macie go słuchać tak samo jak mnie.

— Tak, panie majorze.

Vandini podniósł się z fotela i podszedł do kaprala.

— Chcę wam powierzyć pewną misję. Jest ona trudna i odpowiedzialna.

— Dołożę wszelkich starań.

Vandini uśmiechnął się smutno.

— Gwardia nie zdążyła zniszczyć wszystkich swoich archiwów, znaleźliśmy je teraz. Jest w nich, między innymi, spis agentów gwardii w szeregach powstańczych. Znaleźliśmy także instrukcję, jaką dano im na wypadek obalenia reżimu Althiona: kazano im przeniknąć do nowych władz, opanować je i działać na szkodę Manwenu, w interesie Ziemi.

Vent zaciął wargi, wbijając wściekłe spojrzenie w ścianę.

— Ci ludzie przeniknęli już do naszego sztabu. Są wysokimi oficerami, dlatego nie można się z nimi rozprawić tak, jak na to zasługują. Gdybyśmy z kapitanem Danlinem próbowali ich po prostu aresztować, pociągnęliby za sobą część żołnierzy i w efekcie doszłoby do bratobójczej walki, a do tego nie możemy dopuścić. Agentów Ziemi trzeba po prostu zlikwidować, bez rozgłosu, pozorując zamach niedobitków Gwardii.

Położył Ventowi dłoń na ramieniu.

— Czy macie tak pewnych ludzi, aby wykonać to zadanie?

— Tak, panie majorze.

— Nie chcę was zmuszać do podjęcia go. Jeżeli nie...

— Wykonam to zadanie, panie majorze. Kim są ci ludzie?

Vandini uśmiechnął się.

— Wiedziałem, że mogę na was liczyć, Vent. — Podszedł do biurka. — Chodzi o majora Parnavio, kapitana Hartstone'a, kapitana Volihio, porucznika Nherna, a także o porucznika Bithra i Rigalda z korpusu Hakayana.

Dzwonek telefonu. Vandini podniósł słuchawkę do ucha, przez chwilę słuchał stojąc nieruchomo. Twarz mu pobladła.

— Kto? — zapytał nieswoim głosem.

Znów chwila ciszy i trzask odkładanej słuchawki.

— Major Hakayan nie żyje. — Na twarzy Vandiniego pojawił się wyraz potwornego bólu.

— Zabójca uciekł nie rozpoznany. Żołnierze Hakayana szukają go, ale nawet jeśli znajdą...

— Vandini ukrył twarz w dłoniach.

Vent ponownie wściekłe zacisnął zęby.

— Wykonam rozkaz, panie majorze! — Obrócił się do drzwi.

— Aha, i postawcie przy drzwiach dwóch swoich żołnierzy.

— Już to zrobiłem, panie majorze.



— Znakomicie — powiedział Danlin, kiedy Vent wyszedł. — Teraz jeszcze wyślesz kogoś do kopalni, żeby ich tam przypilnował. Praca nie może ustać ani na moment. Ja na razie wracam, następnych instrukcji dostarczę ci za kilka godzin.

Danlin znikł za rozsuwającą się ścianą. Vandini usiadł za biurkiem. Schował leżący na nim papier do szuflady, wyjmując inny dokument. Przebiegł go niedbale wzrokiem, zatrzymując się na nazwisku Vandini. Zaczął czytać.

Największym chyba sukcesem — pisał autor raportu — jest śmierć kapitana Vandiniego, jednego z najpopularniejszych przywódców rebeliantów. Zginął na Linare, podczas bitwy. Jego zwłoki żołnierze znaleźli na pobojowisku, w pobliżu naszego czołgu, który udało mu się spalić z ręcznego miotacza tuż przed śmiercią. Zabrawszy trupa na dół, chcieliśmy obwozić go po okolicznych wioskach, co wywołałoby znakomity efekt psychologiczny. Niestety, przeszkadzili nam w tym ziemscy doradcy wojskowi, którzy zupełnie niespodziewanie zjawili się na pobojowisku i bez żadnych uprawnień zabrali zwłoki Vandiniego, co więcej, zabronili naszym żołnierzom zbliżać się do tej części pobojowiska, gdzie je znaleziono. Pojazdy ich jeszcze wielokrotnie lądowały w tym rejonie, ponieważ jednak czynili to zupełnie bezprawnie, a nawet grożąc naszym żołnierzom bronią, zwracam się z prośbą o upomnienie przedstawicielstwa Ziemi przy rządzie Manwenu...

Schował papiery do biurka i wyszedł z gabinetu. Zszedł na dziedziniec, gdzie wciąż trwał ożywiony ruch. Któryś z żołnierzy Venta podbiegł do niego i zameldował, że kapitan Hank uruchomił stację radiową.

— Czy w związku z tym nie wyda pan major żadnych specjalnych rozkazów?

— Nie, niech nadaje, co uzna za stosowne. Możecie odejść.

Żołnierz trzasnął obcasami.

Vandini minął bramę i odesławszy eskortę przydzieloną mu przez Venta, zaczął powoli schodzić w dół ulicy.

Teraz ulica była już pusta. Sprawiała nawet wrażenie, jakby ktoś ją sprzątał. Niektóre okna pozastłaniane były dyktą, a z jezdni odgarnięto gruz i szczątki samochodów na boki, tworząc miejsce dla powstańczych pojazdów. Na rogu jakaś tłusta kobieta sprzedawała gorącą zupę. Kilka osób stało obok, siorbiąc z blaszanych manierek.

Vandini sięgnął ku naramiennikom i zaczął z nich odrywać gwiazdki. Na szczęście dały się zdejmować i zakładać bez większego trudu. Zostawił sobie tylko po jednej — wolał uchodzić za kaprala niż za majora. Prawdopodobnie po raz ostatni mógł sobie pozwolić na taki „spacer”, bez ochroniarzy i wiwatującego tłumu.

Mijani na ulicy cywile uśmiechali się do niego i dziękowali głośno. Ktoś wcisnął mu do ręki kufel piwa, jakaś dziewczyna wyczuła go dając mu kwiaty. W mieście było jeszcze niewielu powstańców i mieszkańcy wszystkich fetowali w ten sposób.

— Kapralu! — wyrwał go z zamyślenia czyjś ostry głos. Odwrócił się. Za nim stał, mierząc go złym spojrzeniem, jakiś zirytowany porucznik.

— Od kiedy to, kapralu, przestaliście oddawać honory wyższym od siebie stopniem?

Vandini zasalutował od niechcienia.

— Przepraszam, panie poruczniku — powiedział. — Nie zauważyłem pana.

Obrzucił oficera wzrokiem — nie był to żaden z jego ludzi. Prawdopodobnie pochodził z jakiegoś małego oddziału, który na wieść o klęsce Althiona ruszył na stolicę.

— Jak to?! Nie zauważacie oficerów? — wrzasnął porucznik. — Skąd wy właściwie jesteście?

— Z osobistej ochrony majora Vandiniego.

Porucznik jakby oklapł, choć wyraźnie starał się tego nie dać po sobie poznać.

— Na drugi raz lepiej uważajcie — rzucił i odszedł szybko.

Idiota, pomyślał Vandini.

— Cymbał.

Odwrócił się. Pod ścianą sąsiedniego domu siedział na żelaznej skrzynce po amunicji chudy, szpakowaty mężczyzna. Ubrany był w starą gwardyjską kurtkę z pozrywanymi dystynkcjami, sweter i cywilne spodnie. Ręce splecione miał pod głową opartą o mur.

— Okropny cymbał — powtórzył.

— Myśli pan o nim? — spytał Vandini pokazując za oddalającym się porucznikiem.

Mężczyzna skinął głową.

— Też tak uważam — powiedział Vandini i usiadł naprzeciw nieznanemu na jakimś poniewierającym się szczątku mebla.

— Widać, że dopiero co dostał ten stopień. I że mało wachał prochu. U nas w oddziale też był jeden taki, oficer kasynowy.

— Pan brał udział w powstaniu?

Nieznanomy wskazał palcem na szramę przecinającą oba policzki i usta.

— Brałem. Ale nie w tym. Byłem sierżantem w gwardii Althiona. Dwadzieścia lat temu. No co, kapralu, teraz szybko pan spłynie, jak ci wszyscy cywile? A może zastrzeli mnie pan jako zdrajcę narodu i sympatyka obalonego reżimu?

— Skąd panu to przyszło do głowy? Althion przecież przez wiele lat cieszył się poparciem ludzi. Wszyscy mu ufali. Dawno rozstał się pan z Gwardią?

— Zaraz po rewolucji. Uznano mnie za niepewnego, rozumie pan.. I tak cudem uniknąłem rozstrzelania.

— Więc czego się pan boi? Takich jest wielu. W moim oddziale też są dawni gwardziści. Althion był kiedyś uważany za wielkiego wyzwoliciela, któż mógł przypuszczać, że okaże się zdrajcą?

— Mógł, mógł każdy, kto miał choć trochę oleju we łbie. Ojciec, który kiedyś popierał Diara, powiedział mi, jak szedłem do Gwardii: „Wszyscy oni zawsze mówili to samo. Zawsze byli odnowicielami i zawsze gówno z tego wychodziło. Nie ryzykuj dla nich swojego życia”. Ale ja wtedy go nie słuchałem, tak jak dzisiaj nikt nie chce słuchać mnie. Każdy musi się sam przekonać.

— Więc dlaczego nie przystąpił pan teraz do powstania?

— Właśnie dlatego, kapralu. Raz już w życiu nadstawiałem karku za darmo, teraz kolej na innych idiotów. Nie wierzę w to wszystko. Myślę, że każdy facet u władzy staje się skurwysynem, nawet jeśli przedtem był z niego kryształowo czysty człowiek. Trzeba mu ciągle patrzeć na ręce, inaczej nic z tego. A zresztą — Ziemia.

— Co Ziemia?

— Przecież oni nie pozwolą, aby u nas coś się zmieniło. Wyprzedzają nas techniką o dobre kilkaset lat. Gdy tylko coś będzie nie po ich myśli, przyślą tu swoje superbombowce i rozpieprzą wszystko w pył.

Vandini nerwowo zacisnął palce. Nie wiedział, co powiedzieć. To był moment, w którym jego dwie natury — ziemską, mechaniczną, i jakieś resztki osobowości żywej istoty — rozpadły się definitywnie.

— Może nie pozostaje nic innego, jak strzelić sobie w łeb? Tylko polegli zachowują honor. Żałuję, że to pijane bydło nie rozwaliło mnie jak tylu innych. Pewno nie znają innego lekarza w dzielnicy, więc byłem im potrzebny.

— Pan jest lekarzem?

— Tak, chirurgiem. Kiedyś pracowałem w szpitalu, ale wylali mnie.

— Niech pan posłucha. — Vandini pochylił się w kierunku rozmówcy. — Niech pan zgłosi się jutro w pałacu prezydenckim do kapitana Hartsone'a. Jak pan się nazywa?

— Inver More.

— Jest pan potrzebny ojczyźnie. Trzeba doprowadzić do porządku służbę zdrowia. Szef resortu to wysokie stanowisko. Mam duży wpływ na majora Vandiniego.

More zaśmiał się głośno. Od dłuższego czasu przypatrywał się naramiennikom Vandiniego.

— To nie są dystynkcje kaprała — powiedział wskazując palcem na ślady po odczepionych gwiazdkach. — Dopiero teraz to zauważyłem. Pan jest majorem, a w tym mieście jest teraz tylko jeden wojskowy w tym stopniu.

— Tak, ja jestem Vandini. Więc jak, panie More? Proponuję panu stanowisko szefa resortu w nowym rządzie. Będzie pan mógł sam pilnować, żeby nie powtórzyło się to co przedtem.

Inver potrząsnął głową.

— Wybacz pan, majorze, ale nie. Nie nadaję się do rządzenia.

Podniósł się ze skrzyni z zamiarem odejścia.

— Ale chciałbym wierzyć — powiedział odwracając się — że uda się panu wyjść z tego zaczarowanego kręgu. Niech pan nie pozwoli swojej eskorcie odciąć się od ludzi. To najważniejsze.

Vandini patrzył w ślad za odchodzącym, dopóki ten nie zniknął za zakrętem. Potem podniósł się i szybkim krokiem ruszył do pałacu. Po drodze minął jeszcze grupę kilkunastu ludzi skupionych wokół wystawionego na ulicę radiodbiornika. Vandini poznał płynący z niego głos kaprała Gerda z kompanii Hanka.

— ...Zawsze był w pierwszej linii, nawet kiedy mu to nakazywano — nie opuszczał żołnierzy. Kiedy został ranny w bitwie pod Linare, jego pierwsze słowa po odzyskaniu przytomności brzmiały: „Kiedy będę mógł wrócić na front?” Zawsze pełen był niemalże ojcowskiego ciepła, nawet w stosunku do jeńców. Pewnego razu, na przykład...

Minął to miejsce szybko. Przed bramą przyczepił znowu swoje gwiazdki do naramienników. Minął salutujących mu żołnierzy i pobiegł do gabinetu, wzywając do siebie Venta.

Na biurku leżała jeszcze przyniesiona przez Danlina lista ludzi, których należało się pozbyć natychmiast pod jakimkolwiek pretekstem. Zmiał ją i wyrzucił do kosza. Wyciągnął z szuflady arkusz papieru listowego z herbem Althiona i zaczął na nim pisać nową listę.

kpt Danlin

por. Halfest

por...

Gdy Vent wszedł do gabinetu, lista liczyła już siedemnaście nazwisk.

— Słuchaj, Vent — zapytał. — Czy wytypowałeś ludzi do przeprowadzenia akcji?

— Tak, panie majorze.

— Zmieniam rozkaz. Ludzie, których nazwiska podałem wam przedtem w obecności Danlina, to nasi najwierniejsi oficerowie, oddani powstaniu. To Danlin jest agentem Ziemi. Nie byłem tego zupełnie pewien, dopiero teraz uzyskałem niezbite dowody. Przypuszczam, że jest on zamieszany w zabójstwo Hakayana. Chciał, żebyśmy pozbyli się najlepszych ludzi, na szczęście niełatwo mnie oszukać. Listę tych, których powinniście zlikwidować, mam tu. — Podał mu zapisaną przed chwilą kartkę. — O tamtej lepiej zapomnijcie. Wykonać jak najszybciej.

— Tak jest, panie majorze.

— Danlina trzeba zlikwidować, jak tylko go znajdziecie, natychmiast. To bardzo niebezpieczny człowiek, Ziemianie wyposażyli go w kilka swoich najnowszych wynalazków.

— Tak jest.

— Możecie iść.

— Panie majorze, pod drzwiami czeka kapitan Hartson. Czy mam go wpuścić?

— Tak.

Kroki, trzask otwieranych i zamykanych drzwi, i znowu kroki, tym razem inne, bardziej energiczne.

— Zrobiłem, jak pan kazał, panie majorze. Wszystko gotowe. Na placu zbudowaliśmy podest na zestawionych transporterach, założyliśmy aparaturę nagłaśniającą, nawet reflektory. Zebrało się już dobre kilkaset tysięcy ludzi, coraz trudniej ich opanować. Myślę, że powinien się pan tam jak najszybciej zjawić.

Vandini zastanowił się.

— Znakomicie — powiedział po chwili, podnosząc się z fotela — pośpieszmy się.

— Pod bramą czeka łazik — mówił Hartsonie już na korytarzu. — Zajęliśmy koszary Gwardii. Broniło się tam jeszcze kilku facetów, poddali się na sam widok mundurów. Stąd ten cały sprzęt.

— Szybciej — ponaglił go Vandini. — Nie zdaje pan sobie nawet sprawy, jak wiele zależy teraz od pośpiechu.

Wybiegli z pałacu i wsiedli do samochodu, który natychmiast ruszył z całą prędkością.

\* \* \*

Ściana rozstała się bezgłośnie i wyszło z niej trzech ludzi. Jednym z nich był Danlin. Wszyscy mieli na sobie czarne powstańcze mundury, przerobione z mundurów gwardyjskich.

Danlin rozejrzał się zdziwiony po gabinecie. Podszedł do biurka, lecz nic na nim nie znalazł. Fakt, że Vandini zaczął podejmować samodzielne kroki, zaniepokoił go.

— Wracajcie — rzucił do swoich towarzyszy. — Musimy zmienić program. Niech natychmiast wezmą robota na dokładny, wewnętrzny nasłuch. W razie czego przejmować bezpośrednie sterowanie.

Odczekał, aż obaj zniknęli w teleporterze i otworzył drzwi gabinetu.

Chciał minąć wartowników swobodnie, jak gdyby nigdy nic, ale kiedy przechodził obok, jeden z nich chwycił go od tyłu za gardło. Nie miał nawet czasu się bronić. Czuł, jak zrywają mu oznaki i pas z kaburą pistoletu. Ostatnią rzeczą, która zachowała mu się w umyśle, gdy rzucili go na brudną podłogę, przystawiając lufy karabinów do potylicy, był potworny strach. Bał się jeszcze chwilę potem, gdy już potworny wstrząs wyrzucił go wysoko w górę, w gasnącą powoli, brzęczącą milionem dzwoneczków ciszę.

\* \* \*

Łazik zatrzymał się. Drogę przegradzali mu stłoczeni, krzyczący coś ludzie. Nie zauważyli nawet samochodu, odwrócenie do niego plecami.

— Cholera — zaklął Vandini. — Każda chwila jest ważna.

Hartsonie i dwaj żołnierze wysiedli z łazika, zaczęli rozpędzać tarasujących drogę ludzi na boki. Nadbiegło kilku żandarmów, Hartsonie zaczął im coś tłumaczyć, pokazując na przemian to łazik, to znów niewidoczny z tego miejsca plac. Gdy po chwili zjawili się następni żołnierze, zaczęli razem torować drogę dla samochodu.

Wreszcie droga była wolna. Łazik posuwał się powoli wśród tłumu, otoczony przez żołnierzy. Vandini zacisnął zęby patrząc na zegarek. Szpaler w końcu poszerzył się nieco, samochód nabrał prędkości, by po chwili ostro zahamować przy ustawionych w czworobok transporterach.

Vandini wspiął się na pancierz jednego z wozów i stanął na ustawionym tam podwyższeniu. Ktoś podał mu mikrofon.

Oślepiło go światło kilku lotniczych reflektorów ustawionych na dachach pobliskich budynków, chociaż dzień był wyjątkowo pochmurny. Wokół rozległ się triumfalny ryk setek tysięcy ludzi.

Vandini podniósł mikrofon, otworzył usta... nagle eksplozja światła w mózgu słowa zamierają w gardle z niedosłyszalnym charkotem bolesny spazm naprzężonych do granic wytrzymałości mięśni potworny jęk STEROWANIE BEZPOŚREDNIE świadomość zapada się głęboko na dno czaszki niemo obserwuje jak kierowany cudzą wolą mózg wyrzuca do góry zwiniętą triumfalnie pięść jak z gardła wydobywa się ochryply krzyk

— „Rodacy!”

ryk tłumu zapomniałeś Vandini jesteś tylko robotem malutką kukiełką na scenie wszechświata twoja szczątkowa świadomość ostatni spadek po tamtym Vandinim przestała być potrzebna

jesteś robotem kukłą o tyle doskonalszą niż Althion czy Danlin że bez własnej woli.

— „Nadeszła tak długo oczekiwana godzina wolności!!”

czyj głos odbijają potężnym echem gigantofony czemu wydobywa się ze ściśniętego gardła nie tak miało być przemóc się powiedzieć im wszystko niech poznają prawdę szczątki świadomości zapadają się coraz głębiej ryk tłumu zaciśnięta pięść opada powoli w dół ustaje ból mięśni koniec walki przegrałeś Vandini ryk tysięcy gardeł nie milknie ani na moment wzbija się ponad dachy domów roznosi daleko miarowym skandowaniem

— Van — di — ni — Van — di — ni — Van — ...

Tłum, płaczący ze szczęścia, wita nowego prezydenta.

styczeń 1982